

gazeta uniwersytecka

MIESIĘCZNIK UNIWERSYTETU ŚLĄSKIEGO W KATOWICACH

cena 2 PLN

ISSN 1505-6317

m a j

2005

Dodatek specjalny



TOTUS TUUS



W imieniu polskiej społeczności naukowej i akademickiej
z głębokim żalem i najwyższym szacunkiem
żegnamy

Ojca Świętego Jana Pawła II

a dla nas także
Księdza Profesora

Karola Wojtyłę

Zachowamy Go w sercu i pamięci
za naukę i słowo skierowane ku najgłębszym potrzebom człowieka,
za to, co uczynił dla wolności myśli i dążenia ku prawdzie,
za wszystkie dary, z których czerpiemy jako ludzie, pracownicy nauki i Polacy.

*„Komu wiele dano, od tego wiele wymagać się będzie.” (Łk 12,48)
A zatem uczeni, właśnie dlatego, że „wiedzą więcej”, winni również „więcej służyć”
Wolność w prowadzeniu badań naukowych daje im dostęp
do specjalistycznej wiedzy, a zarazem nakłada na nich obowiązek
wykorzystywania owej wiedzy w sposób mądry, dla dobra całej rodziny ludzkiej.*

Jan Paweł II

Ukochany Pasterzu, Twoja nauka pozostanie dla nas drogowskazem

Minister Nauki i Informatyzacji
Michał Kieiber

Minister Edukacji Narodowej i Sportu
Miroslaw Sawicki

Prezes Polskiej Akademii Nauk
Andrzej B. Legocki

Przewodniczący Konferencji Rektorów
Akademickich Szkół Polskich
Franciszek Ziejka

Prezes Polskiej Akademii Umiejętności
Andrzej Białas

Przewodniczący Rady Głównej
Szkolnictwa Wyższego
Jerzy Błażejowski

Przewodniczący Rady Nauki
Michał Szulczewski

Przewodniczący Rady Głównej
Jednostek Badawczo-Rozwojowych
Zbigniew Śmieszek

Na Kanoniczej

1. 13 marca 1949 r. kardynał metropolita Adam Sapiecha przeniósł księdza Karola Wojtyłę do Parafii Św. Floriana w Krakowie z obowiązkiem prowadzenia duszpasterstwa akademickiego. W lipcu 1951 r. kardynał zmarł. Nowy administrator archidiecezji krakowskiej – arcybiskup Eugeniusz Baziak, metropolita lwowski udzielił dwuletniego urlopu ks. K. Wojtyle na napisanie pracy habilitacyjnej. Z dniem 1 października 1951 r. habilitant zamieszkał przy ulicy Kanoniczej 19 u ks. prof. Ignacego Różyckiego, który dał mu pokój do pracy i otoczył opieką. Mieszkanie ks. prof. Ignacego Różyckiego było domem miłośnika obrazów oraz ogromnych witraży. Mimo intensywnej pracy naukowej ks. K. Wojtyła nie zrezygnował z kontaktów z młodzieżą akademicką i w dalszym ciągu odbywał liczne wycieczki rowerowe i piesze w okolice Krakowa i w góry. W listopadzie 1953 r. praca habilitacyjna została ukończona. Podstawą przewodu i kolokwium habilitacyjnego stała się rozprawa pt. Próba opracowania etyki chrześcijańskiej według systemu Maxa Schelera. Na recenzentów zostali powołani profesorowie Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego – ks. Władysław Wicher, ks. Aleksander Usowicz oraz profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Stefan Świeżawski. W 1959 r. Towarzystwo Naukowe KUL opublikowało rozprawę habilitacyjną. Nosiła ona nieco inny tytuł, mianowicie Ocena możliwości zbudowania etyki chrześcijańskiej przy założeniach systemu Maxa Schelera. Oficjalnym pismem Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej, z podpisem prof. Stefana Żółkiewskiego (31 XI 1957 r.), potwierdzono uchwałę o nadaniu Karolowi Wojtyle tytułu docenta.

W latach 1951–1958 ks. K. Wojtyła mieszkał w domu przy ul. Kanoniczej 19 w kamienicy kanoników wawelskich; a jako biskup pomocniczy od roku 1958 do 1967 przeniósł się do nowego mieszkania przy ulicy Kanoniczej 21.

Dla wielu mieszkańców oraz miłośników Krakowa ulica Kanonicza należy do najpiękniejszych zakątków starego Krakowa. Kamienica, do której przeniósł się teraz ks. biskup Karol Wojtyła przylegała do domu Długosza zamykającego ciąg budynków zajmowanych przez księży po prawej stronie tej ulicy. Warto tu wspomnieć, że w domu Długosza mieszkał Stanisław Wyspiański. Ulica Kanonicza jest równoległa do traktu królewskiego – ulicy Grodzkiej, ale w przeciwieństwie do tej ostatniej panuje tu stosunkowo niewielki ruch, a nawet cisza i spokój. Wieczory sprzyjają refleksjom, przemyśleniom i poezji. Z Katedry Wawelskiej i okolicznych kościołów słychać nieustanne niemal bicie zegarów kościelnych odmierzających kwadransy i godziny. Przed laty z rzadka tylko ulicą przejeżdżały konne dorożki naruszające ciszę tego zakątka. Mieszkańcy to w większości kanonicy, kurialiści, profesorowie szkół teologicznych. Część budynków, raczej po lewej stronie ulicy, zajmowali dawni lub nowi lokatorzy świeccy. Wszyscy się, przynajmniej z widzenia znali, panował piękny zwyczaj pozdrawiania się i witania skinieniem głowy, uchyleniem kapelusza.

2. Około godziny 15–17 uchylały się masywne drzwi pałacu biskupiego przy ul. Franciszkańskiej 3 i wychodził młody ksiądz „kanonik” z czarną skórzaną teczuszką, już lekko wysłużoną. Na określenie „urzędnik Pana Boga” w tym wspomnieniu zapewne On by przystał, bo pochodzi ono od kolegi po poetyckim piórze, wybitnym pisarzu renesansowym, a trafność jego wynika z ekumenicznych doświadczeń tak bliskich młodemu „kanonikowi”. Szedł powoli, krokiem niespiesznym do domu, wzdłuż ulicy Franciszkańskiej, po przeciwnej miał stronie kościół Ojców Franciszkanów z pięknymi witrażami Wyspiańskiego. Wstąpił na plac Wszystkich Świętych i miał wąską, średnio-wieczno-barokową kamienicę, w której mieszkał Piotr Kochanowski. Po prawej stronie na placu Wszystkich Świętych stał monumentalny i piękny jako dzieło sztuki pomnik zasłużonego dla rozwoju miasta prezydenta Krakowa Józefa Dietla (1804–1870) – dzieło Ksawerego Dunikowskiego. Skręcał prawo na ulicę Grodzką i jeszcze miał możliwość spojrzeć na potężny kościół Ojców Dominikanów z renesansową kaplicą oraz miejscem pochówku Szymona Zimorowicza – autora Roksolanek, które łączą w sobie kresowy liryzm z radykalizmem społecznym. Ulicą Grodzką zrobił jeszcze parę kroków i przechodził obok kamienicy, gdzie mieszkał Wit Stwosz. Zbliżał się do potężnego kościoła Wszystkich Świętych, w którego podziemiach leży ksiądz Piotr Skarga, wielki kaznodzieja i polityk. Jeszcze tylko na ukos przez plac Św.



Kraków, ul. Kanonicza

Marii Magdaleny i zmierzał ku Kanoniczej 19. Wówczas była to (dziś jest inaczej) nieco zaniedbana ulica, choć mimo wszystko jedna z najpiękniejszych ulic starego Krakowa. Było tu spokojnie i cicho, jak przed wiekami, choć to zaledwie kwadrans od centrum średniowiecznego i współczesnego miasta. W starych, zazwyczaj dwupiętrowych kamienicach, będących własnością kapituły wawelskiej, osadzonych na kilkupiętrowych podziemnych piwnicach, dawnych magazynach kupieckich, bo każdy metr pomieszczeń to była ceniona wartość i przez kupców, i przez właścicieli tych budynków – księży kurialnych. Mieszkali w tych kamienicach kanonicy, profesorowie, wikariusze. Do tej grupy mieszkańców i nasz od r. 1958 już wysoki „urzędnik” w sutannie jako biskup należał. Panował na tej niezwyklej ulicy klimat wzajemnej życzliwości mieszkańców, a wieczorami można się było wsłuchiwać w bogatą obecność wawelskich i kościelnych zegarów odmierzających czas. Ulica Kanonicza kończyła się u podnóża północnej części wzgórza wawelskiego, na którym wzniesiona została katedra.

* * *

Los życzliwy zdarzył, iż w roku 1958 r. zamieszkałem przy Kanoniczej 14 (wówczas Domu Młodego Naukowca), na drugim piętrze, z widokiem na ulicę i Wawel, co było bardzo ważne, ponieważ podnosiło walory mego pomieszczenia. Dzięki temu z czasem mogłem bądź przechadzając się po ulicy, bądź spoglądając z okna, poznać przynajmniej znaczniejszych mieszkańców Kanoniczej, którzy często w porze popołudniowej zdążali w stronę Wawelu, a dalej nad Wisłę, lub w kierunku ulicy Grodzkiej do centrum miasta. Istniał niepisany zwyczaj uprzejmego pozdrawiania się mieszkańców skinieniem głowy lub uchyleniem kapelusza. Niektórzy, zazwyczaj już starsi, przykładali palce prawej dłoni do daszka, co było czymś w rodzaju swobodnego pozdrowienia wojskowego.

3. Pewnego razu – już nieco spóźniony na popołudniowe zajęcia uniwersyteckie – wypadłem z mej kamienicy na placzyk Św. Marii Magdaleny wprost na wolno dążącego do domu księdza. Uważałem Go za jednego z kanoników. Wymieniliśmy ukłony. Pewnie o jakieś ćwierć sekundy w swym geście spóźniłem się, bowiem wybiegłem z ulicy na niewielki placzyk, nie spodziewając się nikogo. Błysnęły mi przed oczyma czerwone guziki sutanny, co upewniło mnie w moim – jak się okazało – błędnym mniemaniu, iż jest to jeden z kanoników. Niekiedy widywałem Go mniej więcej o tej samej porze idącego po pracy do domu. Zauważyłem już od dawna Jego niespieszny, choć dystyngowany krok marszowy, spostrzegłem eleganckie, a starannie pocerowane na maszynie czarne buciki. Miał zawsze skromną i wysłużoną teczkę. Robiła wrażenie pustej i noszonej raczej dla dodania sobie powagi. Nigdy nie dźwigał żadnych pakunków, paczuszek.

Jakiś miesiąc po tym spotkaniu wymieniliśmy znowu po raz drugi ukłony już z daleka bezpośrednio na ulicy Kanoniczej. Ja wchodziłem do swego domu, a On po przeciwnej stronie wychodził z bramy swej kamienicy tym razem pod nr 21. Niezwykle elegancka gestykulacja, powściągliwość, piękny i spokojny chód owego księdza zwracał zawsze moją uwagę. Gdy ponadto którejś jesiennej niedzieli obok domu Długosza zauważyłem Jego sylwetkę w grupie około 10 młodych rowerzystów, widząc sposobnych się na wycieczkę, to byłem jego osobą i tym wydarzeniem turystycznym jeszcze bardziej zaintrygowany. Biskup wyprowadzający z kamienicy nr 21 swój rower robił wrażenie! Udawali się wszyscy na wycieczkę w okolice Krakowa, najczęściej „Zakopianką” w stronę Kalwarii Zebrzydowskiej.

* * *

Niedługo po tym odwiedził mnie kolega, od lat mieszkaniec starego miasta, z ulicy Smoleńsk, a więc niejako z tej samej parafii, któremu opowiedziałem swe spostrzeżenia i mogłem też wprost z okna na drugim piętrze wskazać powoli zdążającego do domu – jak mniemałem – kanonika kurialnego. Jakież było moje zaskoczenie, gdy dowiedziałem się, iż według mego przyjaciela ów kanonik, to nowo mianowany biskup pomocniczy krakowskiego biskupa ordynariusza. Istotnie do niedawna pełnił niższe funkcje w kurii krakowskiej. Nazwisko jego nic mi wówczas nie mówiło – Karol Wojtyła. Podobno uczony, jeden z ostatnich docentów Wydziału Teologii UJ. Uzyskałem ponadto pełną gamę informacji o moim „kanoniku” do tego stopnia konkretnych i szczegółowych, że dowiedziałem się też, który to szewc krakowski robi te eleganckie i wyraźnie wygodne buciki, a później, jak zachodzi potrzeba tylko on je zeluje i ceruje. Znawca tajemnic krakowskich, prawdziwy *civis cracoviensis* określił mi nawet przypuszczalną ich cenę po to, bym przestał ulegać wrażeniom, iż mój „kanonik–biskup” chodzi w pocerowanych bucikach.



Tu w latach 1958–1967 mieszkał ks. Karol Wojtyła

Za niedługo opuściłem mieszkanie na Kanoniczej i przeniostem się do innego miasta. Straciłem kontakt z wieloma wydarzeniami krakowskimi. Intrygującej mnie postaci już nie spotykałem. Z kalendarium życia wynika, iż niebawem (1967) biskup Wojtyła zmienił adres zamieszkania z Kanoniczej 21 i przeniósł się na ulicę Franciszkańską 3, co wiązało się z niezwykłym awansem w Kościele krakowskim. Było to dla mnie nie mniejszym wstrząsem niż dla wieloletnich „dobrze urodzonych” z ulicy Kanoniczej, którzy cierpliwie od lat czekali na awans, a tu nagle, jak głosiła stugębna fama ludu krakowskiego, „chłopski syn” został biskupem. Przebywając poza Krakowem tylko z oddalenia mogłem śledzić niezwykłą karierę krakowskiego biskupa oraz legendę, jaka się z czasem wokół niego tworzyła.

ADAM W. JAROSZ

Literatura:

- *Kalendarium życia Karola Wojtyły*, oprac. Adam Boniecki, wyd. 2 popr. I uzup., wydaw. Znak, Kraków 2000.
- Jan Paweł II, *Wstańcie, chodźmy!*, wydaw. Św. Stanisława BM, Kraków 2004.
- Jacek Urban, *Krakowska Kapituła katedralna 1958–1978*, [w:] *Karol Wojtyła jako biskup krakowski*, wydaw. Św. Stanisława Archidiecezji Krakowskiej, pod red. Tadeusza Pieronka i Romana M. Zawadzkiego, Kraków 1998, t. 1, s. 261–275.

„Gdyby się ktoś pytał – Franciszkańska 3”

Foto: Agnieszka Sikora



Ciemne serce spokoju

Nie jestem watykanistą ani teologiem. Nie jestem biegły w historii papieżstwa i dziejach papieża. Jestem człowiekiem małej wiary, którego dramatyczne wydarzenia pierwszych dni kwietnia zagarnęły, zabierając – wraz z innymi – w niezwykłą pielgrzymkę. Tylko w takim charakterze ośmielam się napisać te kilkanaście zdań. Czas tego pielgrzymowania przypadł na kwiecień, czas wiosny, a więc nadziei, czas budzącego się życia (tak pisał o nim Chaucer na początku *Opowieści kanterberyjskich*), ale także na porę trudną, w której zmęczenie pozimowej ziemi uderza nas z obezwładniającą siłą (tak mówił o kwietniu T. S. Eliot na początku *Ziemi jałowej*).

1. Kiedy piszę te słowa wieczorem 2 kwietnia wciąż znajdujemy się w czasie, który – ujmując rzecz po Szekspirowsku – „wypadł z ram”. Nie tylko dlatego, że mówi się o końcu ważnej epoki w Kościele i Europie, o tym, że dla Polski nadchodzi czas niebezpiecznej nawigacji bez Tego, który okazał się nadzwyczajnym i przewidującym sternikiem. Kiedy oglądamy relacje z odległych i bliższych miejsc dostrzegamy z łatwością, iż ludzie – chociaż wciąż oddani swoim zajęciom i codziennym pracom – doświadczają nagle tego, iż we wnętrzu owych czynności, w samym środku naszej krzątaniny wytworzyło się ciemne serce spokoju. To spokój ów kazał nam zapelnąć kościoły i nocami trwać w milczeniu na placach. Doznajemy owego dziwnego czasu, który nie zrywa z teraźniejszością (wykonujemy przecież nasze obowiązki), ale teraźniejszość zostaje teraz pozbawiona swojego agresywnego ostrza. Jest zabieganiem, to prawda; ale w znacznym stopniu przestaje być zabieganiem „o swoje”. Odkrywamy to, co nas łączy, a co wydawało się do tej pory zakryte, bowiem napawało nas podejrzaniem, że jest słabością, ułomnością, którą bezlitośnie wykorzysta nasz konkurent, przeciwnik, rywal. Odnawia się zapomniane poczucie solidarności. Takie jest posłannictwo pielgrzymki. *Peregrinus*, to obcy, cudzoziemiec, który zdrożony zbliża się do nas z dalekich stron. Jest „obcym” nie w powierzchownym ludzkim sensie. Jego obcość jest radykalna i polega na tym, iż to on ujawnia wszystkie moje „domowe” uzurpacje, zadufane przeświadczenie, że „moje”, „narodowe” jest najlepsze i wszystko inne musi uznać jego wyższość. Ta obcość czyni mnie bardziej „swoim”, bowiem ukazuje jak niewiele jest na prawdę „mojego” i jak kruche są podstawy mojego „domowego” zadufania. Pielgrzym uczy nas, że trzeba z domu wyjść, aby go na chwilę tylko odzyskać. Dlatego jest w drodze, *homo viator*.

2. W obliczu wydarzeń na Watykanie świat złągodniał. Ale, aby to mogło się stać, wydarzenia te nie mogły jedynie rozgrywać się za szczelnie zamkniętą Spizową Bramą. Chociaż Ojciec Święty nie opuścił swego apartamentu, a oficjalne komunikaty były nader lakoniczne i rzadkie, wszyscy mieliśmy wrażenie, że dramat ten rozgrywa się najbliżej nas, nie jest faktem „historycznym”, tematem fachowych komentarzy, ale przede wszystkim i nade wszystko dotyka nas samych. Nawet nie

„dotyczy”, lecz właśnie „dotyka”, bowiem historia rozgrywająca się w Watykanie jest historią ucieleśnioną, jest losem ciała niechowającego przed naszym wzrokiem swoich ułomności, lecz przeciwnie – ciało to jakby pragnęło „dotknąć” nas i wciągnąć w swoje losy, przekazując tym jakąś niezwykłą mądrość. Idę więc z Nim, tak daleko jak potrafię, pamiętając o biblijnym napomnieniu, iż tam gdzie dwoje gromadzi się w imię Boga, tam też Bóg nie skąpi swojej obecności. Obecność to jednak inna niż ta, którą znamy z naszych ludzkich doświadczeń. W nieobecności, w braku, niedostatku, w pustce dostrzec zarys Tego, który nadchodzi, który nigdy nie skonkretyzuje się wedle naszych wyobrażeń, bo gdyby to uczynił, zdradziłby sam siebie i swoją wielką Tajemnicę. To pierwsza lekcja tego pielgrzymowania: obecność to nie fizyczne uobecnienie, lecz przemiana naszej egzystencji, *metanoia*.

3. Owo ciemne serce nazywam spokojem dlatego, że nasza teraźniejszość zostaje w pewien sposób uwolniona od przyszłości; przyszłość nie znika, nie traci nic ze swojej grozy, ale groza ta jawi się nam teraz inaczej. Zaczynamy domyślać się, co przyjdzie, podejrzewamy mocno i wbrew nadziei co się stanie, gdy komunikaty powtarzają wciąż informacje o słabnącym tętnie i coraz płytszym oddechu. Ale to nadchodzące przyszłe wydarzenie, to, co zbliża się do Niego nie rodzi się z niewiadomego, nie jest unicestwiajączym zagrożeniem; przeciwnie – to jakby następny etap dobrze spełnionego życia. „Ojciec Święty jest spokojny i przygotowany”. Ten spokój udziela się nam w samym sercu naszej codzienności. Nazywam serce „ciemnym” nie dlatego, by uczynić je siedzibą smutku, lecz dlatego, iż nie kwestionując znaczenia i uroku naszego „kolorowego” świata krzątaniny nagle owo serce uzmysławia nam, że jest coś, co te kolory przenika swoim światłem, a co nazwalibyśmy Dobrem. Ten warunek każdego „koloru” naszej egzystencji wystrzega się wszelkiej jaskrawości, jest delikatnym poblaskiem właściwym wczesnym świtom. Nie „krzyczy” (jak gazety nagłówek, czy fluorescencyjna farba); stoi z boku i milcząco prosi. Jak ktoś cierpiący i słaby.

4. „Spokojny i przygotowany”. Porażające słowa, które jednak wskazują drogę każdemu z nas. Spokojny i przygotowany jest Ten, który odchodzi czyniąc to nie w „naszym”, ale wyłącznie w „swoim” czasie. To jego jedyna własność. Ta godzina jest „jego” w sposób tak dogłębny i intymny, że nie sposób sobie tego nawet wyobrazić. Słowa pierzchają przed tą bliskością. A przecież czas ów przyciągają z nadzwyczajną siłą naszą wyobraźnię i nasze słowa. Ojciec Święty w swej kwietniowej pielgrzymce uczy nas wagi „naszego” czasu, godziny, która wszystkie określenia chronologii ma za nic, bowiem jest godziną bez daty. Gdy bronimy życia, siłą rzeczy wcześniej czy później musimy wystąpić przeciwko bezlitosnej dyktaturze ludzkiego kalendarza wyznaczającego dni i tygodnie, do których dopasowują się ludzie i zdarzenia. Ten, kto odchodzi w „swoim” czasie drama-

tycznie broni życia a nie historyczności datowania i planowania. Dlatego dramat tej pielgrzymki dotyka nas „do żywego”. To, co nas dotyka jest „spozą” nas, jest starsze od nas, nie poddaje się ludzkim kategoriom poznamowym. Zaczynamy – jak Ali Agca, którego rozterki opisuje Jan Paweł II w swej ostatniej książce – rozumieć, że ponad naszą „władzą ... jest jakaś potęża wyższa”. Zaczynamy jej poszukiwać; także w tej pielgrzymce.

5. Ten który odchodzi spokojny i przygotowany odchodzi nie tylko w „swoim” czasie. Więcej: staje przed otwartymi drzwiami robiąc „swoje” to, co robił zawsze, czym służył innym. „Nasza” godzina nie ma nic z apokalipsy; jest cichym wypełnieniem zobowiązania. Dzielnosc polega na tym, aby niezależnie od słabości i znużenia zostać wiernym temu, co zostało nam powierzone i co czyniliśmy w najlepszej wierze, przy najlepszej woli i chęciach dla dobra siebie i innych. Kiedy dowiadaliśmy się, że Ojciec Święty prosi o odczytanie Mu Pisma Świętego, czy leżąc uczestniczyć w nabożeństwie Drogi Krzyżowej przekaz tego był jasny: niezależnie od siły i intensywności mojej wiary, w ludzkim świecie moja dzielnosc przejawia się w tym, iż jestem niezłomny w tym, co wybrałem jako swój sposób postępowania. Nikt nas nie zwolni z obowiązku robienia „swego” wedle naszych sił i możliwości. Mimo choroby, mimo osłabienia, gdy jesteś szewcem, odchodź robiąc buty, które ludzie nosili ku zadowoleniu i wygodzie swoich stóp, gdy jesteś księdzem, odchodź odpowiadając nabożeństwo, którego skupienie leczy dusze, gdy jesteś nauczycielem, odchodź jakbyś wchodził do auli na najlepiej przygotowany wykład. Oto miara twojego życia i twojej dzielnosci. Kwietniowa pielgrzymka Jana Pawła II przypomniała nam tę prawdę, o której chcemy zapomnieć w nerwowym tańcu pragnień i ambicji, które każą nam przybierać coraz to nowe pozy, układać ciało w coraz to nowe figury. Budujemy życie wierząc, iż czas należy do nas; w istocie tylko jedna z owych chwil będzie chwilą, o której już nawet nie będziemy mogli powiedzieć, iż była „nasza”, bowiem to wtedy właśnie zamykają się nasze usta, a myśl opuszcza znajome ludzkie rejony.

6. Wraz z czasem poza ramą naszych nawyków znalazł się także język. Najpierw widzieliśmy dramat Tego, który swą posługę osadził głęboko w żywiole słowa poetyckiego, filozoficznego i teologicznego; Tego, dla którego Słowo było początkiem i ostatecznym zwieńczeniem dziejów człowieka. *Logos*, który u kresów czasu pokona historię. Tymczasem na naszych oczach to historia, z jej słabością, chorobami i zmęczeniem odebrała fizyczny głos Papieżowi, pozostawiając Mu dramatyczne ruchy rąk podnoszonych i opuszczanych przyplływem szczególnej energii na poręcz fotela, czy krawędź pulpitu. Czy gesty te były świadectwem zniecierpliwienia? Być może; nikt nie jest wolny od poczucia bezsily towarzyszącego sytuacji, w której staram się komuś dać wszystko, co mi zostało do ofiarowania, lecz nie znajduję sposobu do podzielenia się sobą. Czuję się

wtedy nagle szczelnie zamknięty, jakby otoczony jakąś nieprzenikliwą skorupą, a wtedy właśnie najbardziej pragnę ją rozbić, bowiem to, co mam do przekazania zawierałoby mądrość szczególną, której nie znają dni mojej elokwencji. Kryje się w tym geście ludzkie zniecierpliwienie i chęć przebiccia się przez narastający dystans dzielący Tego, który się oddala, od tych, którzy (chwilowo) pozostają. Ale jest w tych poruszeniach ramion coś więcej: pielgrzymowanie do początków języka, do początków porozumiewania się, próba odnalezienia miejsca, w którym zaczynam wyłaniać się z ciemności siebie na światło Drugiego. Jeszcze nim słowo pojawi się ze swym blaskiem, ale także i możliwością zdrady. Ta lokalizacja to miejsce, w którym nie obawiam się swojej słabości, bowiem to ona sprawia, że w sposób poważny, a nie jedynie w sferze insygniów ludzkich godności i hierarchii społecznej wagi zbudowanej na sile, jestem w stanie prawdziwie porozumieć się z innymi.

Pisze Kierkegaard, że Chrystus nigdy nie bierze do ręki berła, a jedynie trzcinę, będącą synonimem słabości. Lecz to w tym właśnie symbolicznym przedstawieniu znajduje filozof dramat prawdziwej władzy: „Rozkazywać całemu światu berłem to w sensie mocy jest jakby niczym wobec rozkazywania światu trzciną, to znaczy własną niemocą, czyli w sposób Boski” (przeł. A. Szwed). Ramiona Ojca Świętego dramatycznie podniesione i opadające w stronę pulpitu to przejście od berła do „trzciny” – przemożny, potężny, miażdżący siłą swej słabości gest. To, co pozostaje nam, gdy odłożymy na bok berła słów. Kto choć raz odwiedził hospicjum doskonale wie, o co chodzi. Cierpiące ciało ma to do siebie, że niezwykle precyzyjnie i bez straty czasu krystalizuje myśl: ciało obolałe, któremu zaczyna brakować powietrza i ruchu krwi nie wdaje się w żadne retoryczne zabiegi. Jest nagie i bezlitośnie nagi jest jego dyskurs. Gdy słowo może wdać się w niezobowiązujące, zapewne urocze i podtrzymujące kontakt ze słuchaczem pogwarki, ciało przemawia zawsze na mocy największego zobowiązania: dotknięte „do żywego”, zawsze dąży do tego, by „do żywego” dotknąć nas. Historia święta jest historią ciała.

7. Kwietniowa pielgrzymka Ojca Świętego jest także surową rekolacją udzieloną naszej mowie. W relacjach dziennikarzy niezmiennie spotykamy ten moment: potoczny bieg słów, fachowość pytań, profesjonalność odpowiedzi, błyskotliwość interpretacji nagle stają jak wryte, onieśmiałe, jakby odarte z wszelkiej energii. Brakuje słów, aby nazwać to, czego nazwać nie chcemy, jakbyśmy pozostawali we władzy magicznego przekonania, iż niektóre wyrazy mają moc sprawczą. Wówczas mówimy: „wiadomość, której nie chcielibyśmy państwu przekazywać” albo „to, czego wszyscy boimy się powiedzieć” lub w najśmielszej wersji „wszystko w rękach Boga”. Gdy Ojciec Święty jest „spokojny i przygotowany” do tego, o czym sam mówił nie tak dawno, iż zbliża się jako moment „zdania sprawy”, nasza mowa jest rozbiegana i pełna lęku. Gdy dzisiaj przed oknami domów, z których Jan Paweł II przemawiał do wiernych gromadzą się tłumy, czynią to z chęci odnowienia mowy dzielnej, pozbawionej obaw i mniej lub bardziej udanych eufemizmów. Niezwykła pielgrzymka Ojca Świętego przez świat z pierwszych dni kwietnia 2005 roku spina się klamrą przesłania z pierwszym papieskim przyjazdem do kraju i do pamiętnych słów o Duchu Świętym mającym odnowić tę ziemię oraz do wezwania „nie lękajcie się”. Gromadzimy się, bo jesteśmy śmiertelnie zmęczeni złą, schorzałą mową i spragnieni odnawiającego ruchu w stronę dzielności.

8. Pielgrzymowanie to gromadzi nas nie „z prostej ciekawości”. To nie ciekawość sprowadza ludzi do świątyń i miejsca zgromadzeń. Pisze Kierkegaard, że zaciekawienie już koi ból i samo przez się zawiera coś przyjemnego (przeł. K. Toeplitz). W naszych spotkaniach nie chodzi o kojenie bólu ani o doznawanie łatwej pociechy. Przeciwnie – nazwałem jądro spokoju „mrocznym”, nie dlatego, by zawierało ono jakieś ciemne treści, lecz po to, aby podkreślić to, że spokój, który przenika dzisiaj naszą krzątaninę nie ma nic wspólnego z oczekiwaniem. Jeśli w miastach wizyt papieskich czuje się dzisiaj ducha pielgrzymki, to stanowi on przeciwwagę dla aury oczekiwania stworzonej przez wszechobecne media. Rozumiem ich zadanie i posłannictwo, ale trudno pogodzić się

z atmosferą wyczekiwania na wiadomość, na TE wiadomość, którą każda z agencji prasowych chciałaby podać jako pierwsza. Jakże wypacza to ducha tego, co dzieje się dookoła. Oczekiwanie jest niecierpliwym, niemal przynaglającym wyglądaniem, niespokojnym wychylaniem się wrzód, wykręcaniem szyi, aby zobaczyć jako pierwszy. Tymczasem ci, którzy się gromadzą chcieliby być ostatnimi, którzy zobaczą. Nie oczekują; można nawet rzec, iż wzbili się ponad ludzką nadzieję. Oni trwają. Trwać z Tym, który odchodzi jest powołaniem, o którym zapomnieliśmy. Towarzyszyć Odchodzącemu to najwyższy akt gościnności – przyjmować to, co większe od człowieka. Nic dziwnego, że umieranie relegowaliśmy do szpitali i domów opieki. Kiedy Ojciec Święty miał powiedzieć „szukałem was, a wy mnie dzisiaj odnaleźliście” (cytuję z pamięci, więc być może niedokładnie) to dramatyczny akcent pada właśnie na owo niezwykłe, straszne, ale otwierające nieogarnięte perspektywy „dzisiaj”. „Dzisiaj”, czyli w chwili odchodzenia, jesteście tutaj ze mną, siedzicie obok, być może ukrywając twarz w dłoniach, ale jesteście tutaj, więc nie opuściła was dzielność. Oto wielka, bolesna lekcja tej pielgrzymki udzielona nam, którzy nie siedzieliśmy przy łóżku umierających, bo zajęci byliśmy własnymi sprawami, którzy nie zamknęliśmy oczu temu, który odszedł, bo wzywały nas sprawy niecierpiące spóźnienia. Media nerwowo oczekują; ludzie czuwają z troską, odkrywając w sobie i w swoich pracach spokój. „Lecz na dole całe życie ktoś czuwa” (przeł. A. Libera), oto Hölderlinowska nauka tch najszczególniejszych, powielkanocnych rekolacji.

Przerywając program radio powiadomiło, że 2 IV 2005 roku, o godzinie 21.37 Ojciec Święty zmarł w swym apartamencie. Ale Pielgrzymka trwa nadal. Nic więcej nie można napisać.

TADEUSZ SŁAWEK

Pierwodruk artykułu w „Tygodniku Powszechnym” nr 15/2005 w całości poświęconym Janowi Pawłowi II. Redakcja „Gazety Uniwersyteckiej UŚ” dziękuje redakcji „Tygodnika Powszechnego” i Autorowi za zgodę na przedruk.

TYGODNIK PWSZECHNY

CZUWANIE W KRAKOWIE Czwartek, 7 kwietnia 2005 r.

Czowanie przy zmarłym to starożytny obyczaj, sięgający czasów pogańskich. Jest to uczestniczenie rodziny i sąsiadów w obrzędzie nocnym przy trumnie zmarłego w celu jego ochrony przed złymi duchami, które wedle wierzeń nabierają mocy w ciemności. Ten czas od zmierzchu do świtu określa się jako *n o c p u s t a, n o c o p ł a k a n a*. Wówczas śpiewa się psalmy i pieśni nabożne przy zapalonych kagankach i świecach, aby „duszyczka” mogła się ogrzać*.

W pierwszych dniach kwietnia 2005 roku, kiedy to pogrążeni byliśmy w głębokim smutku po odejściu Jana Pawła II, czowanie nabierało nowego wymiaru czasowo-przestrzennego. Wyszło ono z ram nocy; wyszło też z izby żałobnej... Ludzie czuwali w różnych godzinach i w różnych miejscach na Ziemi, modląc się i śpiewając przy zapalonych świecach. Był to nowy, już inny wymiar czuwania – pogłębianych myśli o zmarłym Papieżu.

W dniu poprzedzającym pogrzeb Jana Pawła II odwiedziłam szczególnie ważne dla Niego miasto Kraków. Celem było czowanie na Błoniach i przy

oknie na Franciszkańskiej. Miałam też zamiar reportersko opisać te miejsca. Nie udało się. Wielka fala wspomnień z Krakowa, w którym żyłam od 1945 roku, ścieżki Papieskie z okolic i atmosfera dnia, wyzwoliły nowe myśli. Stąd zawarte w tym przekazie słowa prawie nie dotyczą zewnętrznosci; ułożyłam je wedle własnego porządku. Opisanym miejscem, zdarzeniom, nadałam znaczenia, które tworzą moją własną strukturę myśli, wciąż jeszcze przebudowywanych, odniesionych do życia i dzieła Jana Pawła II. Oto wstępna próba zapisu.

Mimo iż przez długie lata wędrowałam krakowskimi ścieżkami ks. Karola Wojtyły, nigdy nie spotkałam Go osobiście; nigdy nie spojrział mi w oczy; nigdy nie przemówił osobno do mnie, ani nie dotknął kojąco mego ramienia. Mimo to, spojrzenie, gest, słowa i dotyk, którym obdarowywał innych, przyjmowałam jako dar przeznaczony również dla mnie; to mi wystarczało jako najgłębszy osobisty kontakt. Postać Jana Pawła II zawsze ogarniałam wzrokiem z obrzeży wielkich zgromadzeń.

BŁONIA

Za dobrze znam przestrzeń krakowskich Błoni, aby nie dostrzec tam znaczących momentów. Jedną symboliczną sceną przy skale Papieża – warta opisu. Pustułka, zwyczajem ptaka drapieżnego, zatrzymywała się wysoko na moment w locie, stwarzając wrażenie zawieszony nad rozmodlonym tłumem sylwetki Ducha Świętego.

Czuwając na Błoniach, myśl moja wybiegała daleko na okoliczne wzgórza wapienne, i w pobliższe Beskidy. I tu zadałam sobie pytanie – co Papież dostrzegał w tych niepowtarzalnych krajobrazach? Odważyłam się też zapytać – a co ja dostrzegałam w nich jako dziecko, a potem studentka geografii, wędrując tymi samymi ścieżkami co Papież: Jurą Krakowską i Beskidami?

Jan Paweł II jeszcze jako duchowny Karol Wojtyła – patrząc na niebo, na poszarpaną białymi skałami linię horyzontu oraz krajobraz podkrakowskich wzgórz, dostrzegał głębsze sensory. Pojmował te elementy jako jedną całość spojonych tajemnicą; pojmował wszystko we wszystkim i nie mógł się temu nadziwić. Już wówczas ta okoliczna przyroda stanowiła tło dla formowania się Jego „programu” naprawy świata. Ja – wędrując ścieżkami Papieża pod Kopcem Kościuszki, wałem Rudawy czy wapienną doliną – nieporadnie, z trudem rozkładałam świat na kawałki: skała, gleba, drzewo; nie dostrzegałam jeszcze w tym otoczeniu roli człowieka. Pochylałam się nad szczegółami. Przeczynałam wprawdzie harmonię świata, ale wówczas jeszcze nie byłam gotowa na jej uznanie. Papież na ścieżkach Kalwarii Zebrzydowskiej prowadząc często tajemny dialog z Bogiem, rozstrzygał znaczące kwestie swoje i nasze. Ja inne, zewnętrzne rzeczy dojrzałam: zakrwawione stopy pątnicze, buty oblepione błotem, ślizgające się po czerwonej, rozmokłej glinie pstrych łupków fliszowych. Wzruszała mnie ekstaza pielgrzymów; sama jednak pozostawałam „osobno”. Papież wędrując wzdłuż górskiego potoku, śledził zmieniające się odbłaski wody, odczytując je jako znaki dobroci Bożej; jako modlitwę wody. Ja, zgodnie z zasadą „szkiełka i oka”, określałam cechy fizykochemiczne wody i wydajność jej przepływu w litrach na sekundę. To mi było wówczas potrzebne...

Foto: Agnieszka Sikora



Wadowice, dom rodzinny Ojca Świętego

OKNO

Kraków się modlił. Nastal czas wielkiej ciszy; w całej przestrzeni miejskiej czas linearny przestał obowiązywać. Kraków wszedł w inny wymiar – czasu zatrzymanego; czasu świętego. Liczyło się tu tylko duchowe zjednoczenie z Bogiem. Stojąc przed oknem papieskim, nie śmiałam spoglądać na ludzi w modlitewnym skupieniu. Stałam na obrzeżu, powiększając czuwające grono w tej godzinie „przejścia”.

Dziś, wracając do spraw codziennych uświadomiłam sobie fakt, iż pojawiło się nowe odliczanie czasu: przed odejściem i po zgonie Papieża. Stojąc pod Jego oknem myślałam m.in. o przemianach w polskiej przestrzeni sakralnej. Jest u nas w tradycji ludowej wiele miejsc symbolicznie naznaczonych śladem stóp na skale różnych świętych osób, np. stopka Matki Boskiej, stopka Królowej Jadwigi. Ostatnie wydarzenia znacznie wzbogaciły i utrwaliły mapę miejsc świętych w naszym kraju. Dominantą stały się miejsca dotknięte stopą Jana Pawła II. Wprawdzie materialnych śladów stóp na skale nie pozostawił, ale odcisnął znaczący ślad dobroci Boga w naszych umysłach i sercach.

SŁOWO

Przez szereg lat prowadziłam badania nad rzeźbą Beskidów polskich. Zatrzymując się w odległych przysiółkach, napotykałam starych gospodarzy, którzy chętnie o zmierzchu gwarzyli. Ich prosta, archaiczna mowa, gesty, surowy, lecz równocześnie życzliwy, wyraz twarzy i tak niepowtarzalny żart, przyciągały rozmówcę. Byli oni autentyczną częścią tych gór, co wyrażało się w głębokiej więzi z krajobrazem.

Dziś zrozumiałam, że taki sposób wyrażania myśli nosi znamiona archetypiczne, przekazywane w kulturze wsi z pokolenia na pokolenie, między innymi wśród mieszkańców naszych gór. Papież Karol Wojtyła, mimo wysokich szkół, przekazywał to bezcenne dziedzictwo. Można je określić jako syntezę swojskości, np. „przyjdą zaś”, „żał odjeżdżać”. Gdy przyszedł czas, z talentem przeniósł tę umiejętność na wielkie stadiony i pola marsowe w celu nawiązania pogłębionego kontaktu z ludźmi.

On też znał pierwotną wartość słów, za które odpowiadał: „tak – tak; nie – nie”.

W zgłębiu wielkich zgromadzeń umiał się wyłączyć. Dłuższe chwile milczenia odbierałam jako namysł; jako kontakt z Tajemnicą, przez co stosunkowo łatwo powracał do wypowiedzianej myśli najprostszej, zagubionej w chaosie słów, a tak ludziom potrzebnej.



Krakowskie Błonia

CZYN

Powoli mija czas oślakane go tygodnia. I tu trzeba raz jeszcze powrócić na ścieżki – już nie te zielone, podkrakowskie...

Warto przywołać szlaki Papieskie poprzez kontynenty naszej planety. W wyobraźni pozostaje wizerunek dobrego Człowieka, który wędrując bogatą północą i biednym południem, przynosił ludziom ukojenie w cierpieniu i nadzieję Dobrej Nowiny.

MARIA Z. PULINOWA

* Autorka dziękuje prof. Zygmuntowi Kłodnickiemu za dyskusję o etnicznej tradycji pogrzebowej w Polsce.



Kalwaria Zebrzydowska

Studenckie pożegnanie Ojca Świętego

7 kwietnia br. studenci Uniwersytetu Śląskiego zaprosili przedstawicieli środowiska akademickiego do modlitwy w intencji Ojca Świętego w czasie Mszy Św. Żałobnej w Archikatedrze Chrystusa Króla w Katowicach. Mszę Żałobną uświetniły pieśni w wykonaniu Chóru i Orkiestry Filharmonii Śląskiej pod dyrekcją M. J. Błaszczyka. Następnie ponad 30 tys. młodych ludzi, pracowników śląskich uczelni oraz mieszkańców Katowic przemaszerowało na lotnisko Muchowiec, gdzie odbył się Apel Jasnogórski.

Po Apelu Jasnogórskim uczestnicy Studenckiego Pożegnania powrócili, ze świecami, do Krypty Katedry, gdzie rozpoczęło się nocne czuwanie trwające aż do rozpoczęcia piątkowych ceremonii pogrzebowych. O godz. 8:00 w piątek, odbyła się ponadto Msza Św. w intencji beatyfikacji Jana Pawła II. Koordynatorami akcji była Uczelniana Rada Samorządu Studenckiego UŚ, Gaudeamus.

Red.

Tekst wystąpienia JM Rektora Uniwersytetu Śląskiego prof. dr. hab. Janusza Janeczka wygłoszonego w trakcie Mszy Żałobnej w intencji Ojca Świętego Jana Pawła II w Archikatedrze Chrystusa Króla w Katowicach 7 kwietnia 2005 roku

„*Fides et ratio* spotykają się w poszukiwaniu mądrości. Posługują się innymi narzędziami i metodami, ale ubogacają się wzajemnie na drodze odkrywania wielorakich wymiarów prawdy”.

Tymi słowy Ojciec Święty Jan Paweł II zwrócił się do nas – przedstawicieli Uniwersytetu Śląskiego, którzy wraz z Metropolitą Katowickim, Arcybiskupem Damianem Zimoniem i Prezydentem Katowic, Panem Piotrem Uszokiem 13 stycznia przybyli do Stolicy Apostolskiej, aby osobiście podziękować Ojcu Świętemu za życzliwość i wsparcie udzielone Uniwersytetowi Śląskiemu w czasie tworzenia Wydziału Teologicznego.



Przywołuję te właśnie słowa Ojca Świętego, gdyż w powodzi wypowiedzi i refleksji na temat dokonań Wielkiego Papieża często umyka nam to, że był On także człowiekiem Uniwersytetu – ostatnim doktorem wypromowanym na Wydziale Teologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, zanim wydział ów został przez władze komunistyczne zlikwidowany. Wywołaliśmy uśmiech na twarzy Ojca Świętego wskazując na symboliczny wymiar powrotu teologii do córki UJ, do Uniwersytetu Śląskiego.

Jan Paweł II wiele swoich wystąpień i przemówień adresował do ludzi nauki. Był pełen podziwu dla dokonań nauk przyrodniczych, ale zarazem wzywał nas do tego, abyśmy nigdy nie tracili z pola widzenia wartości etycznych będących wyrazem tożsamości osoby ludzkiej. Szczególną wagę przywiązywał w poznaniu naukowym do łączności rozumu i wiary. „Rozum oświecony wiarą ma rozeznanie nadprzyrodzone” mówił do profesorów.

Był Jan Paweł II uczonym, głębokim myślicielem, filozofem moralności – echa tej działalności filozoficznej odnajdziemy w ostatniej Jego książce „Pamięć i Tożsamość”, ale przede wszystkim był znakomitym wykładowcą i nauczycielem trafiającym do młodych umysłów w sposób, jaki dla wielu

z nas – profesorów uniwersyteckich jest niedościgły. Mówił: „Młody człowiek ... szuka prawdziwych wartości i ceni tych ludzi, którzy tych prawdziwych wartości uczą i według nich żyją”. O tym, jak bardzo młodzież ceni człowieka, który nauczał prawdziwych wartości i według nich żył, przekonujemy się w tych szczególnych dniach patrząc na spontaniczny wybuch miłości studentów do ich nauczyciela, który właśnie zakończył swoją ziemską misję.

Ojciec Święty rozumiał doskonale młodzież zapewne też i dlatego, że był w Nim przez cały czas jakiś wigor młodzięczy, mimo fizycznego zniewolenia chorobą. Mam w pamięci te chwile sprzed trzech miesięcy, kiedy Ojciec Święty przykuty do fotela, mówiąc do nas wyraźnie ożywiony zdawał się duchem z papieskiego fotela unosić.

Mam nadzieję, że to, co obserwujemy teraz w Polsce, owo spontaniczne jednoczenie się z Ojcem, który już jest w niebie, nie będzie tylko ulotną chwilą, ale odciśnie się trwałym śladem na naszym dalszym postępowaniu. Winni to jesteśmy Ojcu Świętemu.

Ważne jest, abyśmy raz jeszcze wsłuchali się i wczytali w słowa Ojca Świętego, raz jeszcze prawdziwie zgłębili Jego myśli i przesłania i, co najważniejsze, abyśmy postępowali według Jego wskazań, jak choćby tych:

„Niech nasza droga będzie wspólna.
Niech nasza modlitwa będzie pokorna.
Niech nasza miłość będzie potężna.
Niech nasza nadzieja będzie większa od wszystkiego,
co się tej nadziei może sprzeciwić”.

Cytaty i myśli Ojca Świętego zostały zaczerpnięte z książki *Nadzieja większa od wszystkiego. Myśli Jana Pawła II w wyborze Jerzego Klechty*, Księgarnia św. Jacka, Katowice 2002 oraz z encykliki Jana Pawła II *Fides et ratio*.





Foto: Agnieszka Sikora



Watykan, 8 kwietnia 2005 roku

Jan Paweł II w swojej *ENCYKLICE FIDES ET RATIO* pisał: „Wszystkich proszę, aby starali się dostrzec wnętrze człowieka, którego Chrystus zbawił przez tajemnicę swojej miłości oraz głębię jego nieustannego poszukiwania prawdy i sensu”. I może właśnie ta otwartość na zwykłego człowieka spowodowała, że ludzie z całego świata tak bardzo ukochali swojego pasterza, a swojego wielkiego przywiązania do Niego dali dowód podczas czuwania na Placu Świętego Piotra w Watykanie:

w czasie choroby Ojca Świętego, w pierwszych dnia po Jego śmierci i w czasie pogrzebu. Wśród tych setek tysięcy ludzi, którzy tak tłumnie przybywali do Watykanu, byli także nasi studenci. Wśród nich znalazł się Kamil Grajner – student Wydziału Teologicznego UŚ. Niech jego relacja z podróży do Rzymu będzie komentarzem do tych trudnych i ważnych chwil, jakie przeżywaliśmy.

Red.



Ruszamy do Rzymu



Kamil Grajner i Przemysław Kotowski na Placu św. Piotra

Foto: Kamil Grajner

W środowy wieczór 6 kwietnia 2005 roku wyruszyły do Rzymu pociągi specjalne, wypełnione do granic możliwości Polakami zmierzającymi na pogrzeb Ojca Świętego Jana Pawła II. Wiły się przez pół Europy, obwieszone biało-czerwonymi flagami, oznajmiając wszystkim cel podróży. Pasażerowie, choć czekała ich jeszcze długa droga, od pierwszej chwili zachowywali się w pociągu tak, jakby za pięć minut mieli wysiadać na stacji końcowej. Wszyscy pogrążeni byli w wielkiej zadumie, a jednocześnie szczęśliwi, że dane im jest podążać do Rzymu, aby tam oddać hołd Wielkiemu Rodakowi. Od chwili śmierci Jana Pawła II każdy z nich chciał znaleźć się w Rzymie. Cały pociąg stanowił jedną wielką rodzinę. Od pierwszego spojrzenia, nawet bez słów, wszyscy czuli, jakby znali się od wielu lat.

Z okna przedziału obserwowałem miejsca, które już wiele razy widziałem, lecz teraz wydawały się bliższe, bardziej otwarte, zjednoczone. Dawali temu wyraz ludzie, wiwatujący radośnie na widok polskiego pociągu. Rzym także witał polskich pielgrzymów z otwartymi ramionami. Armia włoskich wolontariuszy pilnowała, by nikomu niczego nie zabrakło. Tu dały odczuć się dwa „pospolite ruszenia”. Z jednej strony Polacy opanowujący stolicę Włoch, z drugiej miejscowa obrona cywilna próbująca nad tym zapanować. Tłumy pielgrzymów, które wypełniły każdy centymetr kwadratowy Rzymu przelewały się bezwładnie przez ulice. Rdzennych mieszkańców wiecznego miasta trudno było odszukać w tych dniach na ulicach. Wszędzie było słychać rozmowy w naszym ojczystym języku, nad ulicami dominowały biało-czerwone flagi.

W noc poprzedzającą uroczystości pogrzebowe wszyscy udali się w stronę Watykanu, by oczekiwać wejścia na Plac św. Piotra. Na wąskich uliczkach stały tysiące Polaków, a wśród nich także setki Włochów, Hiszpanów, Portugalczków, a także Brazylijczycy i Kanadyjczycy. By pokonać przejmującą chłód grupy pielgrzymów śpiewały i klaskały rytmicznie. Gdy Polacy zanucili „Abba Ojczy”, cały tłum zerwał się do śpiewu. Miałem wrażenie, że w całym Rzymie słychać kilkudziesięcioletni tłum z niewielkiej uliczki, na której stałem. Śpiewali poszczególne zwrotki wszystkich językach, przerywając je polskim refrenem. Mimo zimnej nocy, już nikt nie czuł chłodu. Śpiewaliśmy to dla Karola Wojtyły, wierząc, że nadal jest wśród nas.

Dziesiątki tysięcy ludzi spało obok siebie na ulicach, chodnikach i trawnikach. Włoska obrona cywilna dostarczała pielgrzymom koce, ciepłe napoje i ciastka. Wstając w jednej chwili, zbudzeni nieopatrznie szelestem, w przeciagu kilku sekund, zerwali się na równe nogi. Gdy otwarto bramki blokujące wejścia do Watykanu, morze głów z flotą polskich flag zalało Plac św. Piotra i całą Via de Conciliazione.

Msza Święta i uroczystości pogrzebowe przebiegały w atmosferze, której nie zapomnę do końca życia. Wszędzie panowało przejmujące skupienie. Słowa kardynała Josepha Ratzingera, który powiedział, że Jan Paweł II patrzy na nas z okna nieba i jest nadal z nami podkreślały to, że powinniśmy się bardziej radować zmartwychwstaniem, niż smuć śmiercią.

Po uroczystościach, gdy z Watykanu odjechały tłumne delegacje, na Plac św. Piotra przychodzili ludzie stojący wcześniej z dala i stawali pod zamkniętymi oknami apartamentów papieskich. Po całym Rzymie spacerowały wielonarodowe grupy klaszcząc i skandując: „Giovanni Paolo”. Całe miasto jeszcze wiele godzin po pogrzebie żyło tak, jakby uroczystości wciąż trwały.

Wielu rodaków spędzało tamte trudne i pełne powagi chwile w wielu miejscach Polski, związanych z Ojcem Świętym: na krakowskich Błoniach,



Foto: Piotr Chrusciel



przed rodzinnym domem w Wadowicach, w kościele św. Anny w Warszawie... i nie sądzę, aby miejsce tych modlitw miało jakiegokolwiek znaczenie. Gdy w drodze powrotnej, w przedziale panowała długa cisza zrozumiałem, że do skomentowania tej specjalnej, wyjątkowej pielgrzymki nie potrzeba żadnych słów. Mogła przebiegać w całkowitej ciszy, gdyż nie ma takich słów, które mogłyby być lepszym świadectwem wielkiego przywiązania Polaków do swojego Ojca Świętego i smutku po Jego odejściu. Niech chociaż to, co jest niemożliwe do wypowiedzenia oddadzą zdjęcia.

KAMIL GRAJNER



Foto: Archiwum GU

Świat zatrzymał się na chwilę...

– powiedział prof. dr hab. Wiesław Banyś, Prorektor ds. Nauki, Współpracy i Promocji Uniwersytetu Śląskiego, członek delegacji UŚ, którą w styczniu tego roku przyjął Ojciec Święty Jan Paweł II na audiencji w Watykanie. O odczuciach towarzyszących nam wszystkim w czasie żałoby po śmierci Papieża Polaka, życiu we wspólnocie i zadaniach nowego papieża Benedykta XVI z Prorektorem Wiesławem Banyśem rozmawiała Agnieszka Sikora.

AGNIESZKA SIKORA: Można odnieść wrażenie, że wizyta delegacji UŚ w Rzymie była pewnego rodzaju pożegnaniem Papieża Jana Pawła II ze środowiskiem akademickim. Ponadto była to jedna z ostatnich audiencji, jakich udzielił Jan Paweł II. Jak w kontekście późniejszych, smutnych wydarzeń wspomina Pan Rektor to spotkanie?

PROF. DR HAB. WIESŁAW BANYŚ: Wizyta nasza, na zaproszenie władz kościelnych Watykanu, była oczywiście zaplanowana już znacznie wcześniej. Ojciec Święty przyjął nas bardzo życzliwie. Odnosiłem wrażenie pięknej wspólnoty myśli i wzajemnego zrozumienia. Papież wydawał się być bardzo sprawny, bardzo otwarty, żywo reagujący na to, co mówiliśmy i nikomu z nas nie przyszło do głowy, że mogłoby się nagle cokolwiek wydarzyć w najbliższym czasie. Na koniec audiencji, można powiedzieć, standardowo życzyliśmy zdrowia, pomyślności... i potem, gdy przyszły informacje o pierwszych problemach Ojca Świętego, związanych z hospitalizacją – pierwszą i drugą – a następnie te finalne, to muszę powiedzieć, że moje odczucie jest takie, i zapewne wszyscy mieliśmy podobne odczucia, że było to wstrząsające – także dlatego, że byliśmy jedną z ostatnich oficjalnych delegacji, jakie Ojciec Święty przyjął. Z tej perspektywy patrząc ma to pewien wymiar, nie chcę powiedzieć metafizyczny, ale bez wątplenia symboliczny. Czy to było pożegnanie Ojca Świętego ze środowiskiem akademickim? Ewentualnie jedynie w sensie zupełnie fizycznym, tu-czasowym. Nauka Ojca Świętego będzie trwała bardzo długo i to wszystko, co zasiał – m.in., w wymiarze ogólnym, zachętę do

uczciwego życia, a, w wymiarze akademickim, zachętę do łączenia nauki i wiary – będzie trwać. Poza tym, osoby wierzące doskonale wiedzą, że śmierć nie kończy życia, ale zmienia je w inny wymiar. Świetnie tę wiarę oddają słowa Josepha Ratzingera, który podczas ceremonii pogrzebowej, jeszcze jako kardynał, powiedział, że teraz Ojciec Święty macha nam i błogosławi z innego okna.

Agencje informacyjne, w tym KAI, podawały krótkie, lakoniczne informacje, że rozmowy toczyły się m.in. na temat naszego Wydziału Teologicznego. Czy Pan Rektor mógłby wyjaśnić, czego konkretnie dotyczyły, bo przecież wiemy, że Wydział Teologiczny doskonale funkcjonuje już od ponad 4 lat?

Oczywiście Ojciec Święty był doskonale zorientowany w sprawach toczących się rozmów i negocjacji związanych z powstawaniem Wydziału Teologicznego w Uniwersytecie Śląskim;

zawsze, fantastyczną pamięcią i wspominał m.in. biskupa Bednorza oraz początkowe dyskusje prowadzone na temat roli Kościoła i Kurii na Śląsku. Rozmowa przede wszystkim toczyła się wokół związku *fides et ratio*, o którym bardzo często Ojciec Święty mówił także i wcześniej, a co znalazło odzwierciedlenie w oficjalnym komunikacie papieskim, opublikowanym następnie przez „L'Osservatore Romano”.

Jak wiadomo, delegacja UŚ w Rzymie spotkała się także z kardynałem Zenonem Grocholewskim, który ostatnio w mediach był określany jako bardzo tajemnicza postać. Nas – ludzi Uniwersytetu Śląskiego – może dziwić to trochę, bo przecież mieliśmy okazję gościć kardynała Grocholewskiego w październiku ubiegłego roku na uroczystości poświęcenia nowego gmachu Wydziału Teologicznego. Czy zechciałby Pan Rektor powiedzieć, czego dotyczyły rozmowy z Prefektem ds. Kongregacji Wychowania Katolickiego?

Z kardynałem Grocholewskim oczywiście mieliśmy przyjemność spotkać się przy okazji jego wizyty w Katowicach, w październiku ubiegłego roku. Już w czasie tych rozmów było widać, że kardynał Grocholewski jest postacią nietuzinkową, z charyzmą i wyraźnie określoną wizją powstawania wydziałów teologicznych w różnych częściach, świata, w tym w Polsce, za których powstawanie jest odpowiedzialny. Natomiast w Watykanie, po tych wstępnych rozmowach październikowych, rozmawialiśmy ogólnie na temat sytuacji Kościoła w świecie i w poszczególnych krajach. Jednym z wątków, jaki poruszaliśmy, była kwestia w pewnym sensie ustępowania pola przez chrześcijaństwo innym religiom w Afryce. I ten wątek poruszaliśmy dość szczegółowo, tym bardziej, że to właśnie wtedy, w Darfurze, w południowo-zachodnim Sudanie, bojówki muzułmańskie atakowały z przerażającym okrucieństwem plemiona chrześcijańskie. Chcieliśmy wiedzieć, co Kościół robi w zaistniałej sytuacji i jak wspomaga wiarę chrześcijańską w tym zakątku świata zwłaszcza, że postawa innych wyznań wobec chrześcijan jest bardzo agresywna nie tylko w Darfurze, ale i w wielu innych zakątkach Afryki. Kardynał Grocholewski przedstawiał swoje stanowisko w tej sprawie. Poza tym mówiliśmy o sytuacji Kościoła w Chinach, w południowej i środkowej Ameryce. Kardynał mówił o swojej wizycie w Meksyku, wspominał m.in. o nowo otwartym prywatnym uniwersytecie, gdzie naucza się teologii katolickiej. Był zaskoczony rozmachem, z jakim zbudowano ten uniwersytet i jednocześnie wielką liczbą chętnych do studiowania, mimo bar-



Foto: Wojciech Świątkiewicz

Prof. dr hab. Wiesław Banyś,
Prorektor ds. Nauki, Współpracy i Promocji Uniwersytetu

co więcej – doskonale pamiętał początki, nawet nie te sprzed lat czterech, ale dziesięciu. W oficjalnym przemówieniu adresowanym do Ojca Świętego Jego Magnificencja Rektor UŚ, prof. dr hab. Janusz Janeczek, przypomniał te rozmowy i dyskusje, ale nie było powodu, aby wchodzić w nie głębiej, gdyż wszyscy doskonale znali te kwestie. Nie wchodziliśmy w szczegóły historyczne, nie przypominaliśmy detali, nie wspominaliśmy o przeszkodach, jakie trzeba było po obu stronach usuwać. Ojciec Święty wykazał się, jak

dzo wysokich opłat. Wiara katolików w Ameryce Środkowej i Południowej wydaje się mocna, przynajmniej jeśli ją mierzyć liczbą powstających wydziałów teologicznych. I z tego punktu widzenia sytuacja Afryki w stosunku do Ameryki Południowej czy Środkowej jest zupełnie inna. Podobnie jak sytuacja w Europie Zachodniej. Oczywiście, gdy mówimy o jakimś kontynencie, regionie czy kraju, by nie popaść w nieuprawnione uogólnienia, powinniśmy brać przy takiej ocenie pod uwagę, jak zawsze, większy zestaw elementów opisujących tę sytuację. Szczególnie dotyczy to Europy Zachodniej, w poszczególnych krajach są inne tradycje, różna jest też mentalność aktualnie żyjących tam ludzi, np. Francja ze swoim wielkim laicyzmem, Włochy czy Hiszpania z ich wielką wiarą...

Ale czy ten laicyzm „najstarszej córki Kościoła” nie jest w rzeczywistości bardziej lansowany niż jest naprawdę? Przecież dowodem na to może być sytuacja, jaką ostatnio obserwowaliśmy we Francji, po śmierci Jana Pawła II.

Jestem romanistą i z ludźmi z Francji, Włoch, Hiszpanii mam liczne kontakty. Gdy patrzę na przeciętnego Francuza, to muszę powiedzieć, że od czasów rewolucji ta laicyzacja jednak postąpiła znacząco, a Kościół ma tam duże kłopoty. Przeciętny, rdzenny, Francuz jest człowiekiem, który, zgodnie z oficjalną wykładnią państwową, na ogół stara się zdecydowanie oddzielać sferę religijną od sfery świeckiej, i to powoduje, że kościoły we Francji raczej nie są wypełniane przez rdzennych Francuzów, lecz – jeśli w ogóle – wypełniane są przez ludność napływową, np. Polaków. Ostatnie wydarzenia są szczególne. Wypełniały się kościoły, ale nie tylko one, bo i place, ulice, stadiony, i nie tylko we Francji, ale na całym świecie i nie tylko katolicy, ale także ludzie innej wiary czy niewierzący, wychodzili z domów, by być razem – to wynik porażenia ludzi, ogromnego przejęcia, śmiercią Wielkiego Człowieka... Ma to dla mnie wymiar trochę inny niż tylko religijny. To fantastyczne zwycięstwo Ojca Świętego jako osobowości, jako Autorytetu, który pokazywał, jak w tym szalonym świecie powinniśmy się odnajdywać i żyć uczciwie. Wszystkie słowa, które Ojciec Święty przez wiele lat wypowiadał w homiliach i w czasie różnego rodzaju spotkań sprowadzały się do pewnego zestawu „przykazania” – myśli przewodnich, które powinniśmy mieć i rozważać w naszych sumieniach. Zachęcają one m.in. do wspólnego przeżywania świata, mówią nam że, przede wszystkim, należy żyć z drugim człowiekiem, być współodpowiedzialnym za jego los, że mądre życie człowiecze polega na wzięciu odpowiedzialności za innych ludzi, na współczuciu, ale w takim znaczeniu staropolskim tego słowa – WSPÓŁ-CZUJEMY z drugim człowiekiem, czyli mamy rodzaj wczuwania się w jego sytuację, kiedy współpracujemy razem ze sobą, a nie walczymy, kiedy jesteśmy wrażliwi na to, co się dzieje z drugim człowiekiem, kiedy jesteś uczciwi... I tego typu prawdy są na tyle uniwersalne, że wykraczają poza religię. I to jest coś, co pewnie każdy, nawet laicki, przeciętny Francuz,

mógł potraktować jako swoje przesłanie. Gdyby tak się rzeczywiście stało, a chciałbym tego, byłaby to wówczas wspólna forma dalszego wpływania na nas Ojca Świętego. Niestety, naszą nie-dobrą, ludzką, cechą jest to, że gdy ludzie żyją, to ich prawdy na ogół z trudem znajdują sobie miejsce w naszym uniwersum – chociaż prawdy Ojca Świętego i tak to miejsce znajdowały bardzo dobrze – i dopiero kiedy człowiek odchodzi, wówczas doceniamy to wszystko, co mówił, co czynił. Dlatego tak znaczące, w moim odczuciu, jest to, co w wypowiedziach telewizyjnych bardzo często podkreślali młodzi z całego świata mówiąc, że oni teraz zaczną jeszcze bardziej czytać i studiować pisma Ojca Świętego, że dopiero teraz głębiej czują i rozumieją to, co Papież mówił. To zatrzymanie świata na kilka dni było wyrazem wielkiego bólu po odejściu od nas Wielkiego Człowieka i głębokiej zadumy nad tym, co Ojciec Święty mówił do nas przez tyle lat.

Jak w tym kontekście można ocenić słowa, które pojawiają się w mediach, a wyrażają myśli wielu Polaków, że to było chwilowe, że teraz wszystko wróci do tzw. „normy”? Oczywiście byłoby niemądrym myśleć, że na wszystkich ludzi te przeżycia wpłyną jednakowo pozytywnie. W programie „Co z tą Polską” Tomasz Lis powiedział, żebyśmy się nie zastanawiali nad tym, czy to było chwilowe, czy nie; dla niego ważne jest to, że za kilka lat przypomni sobie, że był taki moment, że wielu ludzi zatrzymało się, pomyślało nad swoim życiem, zadało sobie pytanie: kim jestem? dlaczego zostałem stworzony? i że on w tym wspólnym – globalnym – „zatrąceniu się” uczestniczył. Może zatem ważne jest to, że taka chwila w ogóle nastąpiła, że ludzie potrafili zatrzymać się, podać sobie rękę czy związać szaliki?

To są bardzo mądre słowa. Uważam jednak, że powinniśmy pójść o krok dalej. To bardzo ważne, że ludzie zatrzymali się przez chwilę, oddali się refleksji nad naszym wspólnym bytowaniem i byli ze sobą razem, ale jeżeli byłaby to tylko i wyłącznie ta chwila a po jakimś czasie zapomnielibyśmy o tym, dlaczego się zatrzymaliśmy, bardzo źle by to o nas świadczyło. Wolałbym, żebyśmy byli takimi nie tylko w czasie tych niewątpliwie szczególnych chwil, lecz żeby nauka Jana Pawła II trwała i wskazywała nam dalej naszą drogę. Oczywiście, nie jesteśmy w stanie wymagać od każdego, aby postępował tak, jak te uniwersalne prawdy Ojca Świętego głoszą, ale byłoby dobrze, aby każdy z nas miał w sobie przynajmniej tę refleksję, a najlepiej byłoby gdyby za tą refleksją poszło odpowiednie działanie i zachowanie.

Dziś już wiemy, kto jest następcą Jana Pawła II. Nie powinniśmy oceniać działanie Ducha Świętego, ale czy mógłby Pan Rektor podzielić się swoimi refleksjami po wyborze kardynała Josepha Ratzingera na nowego papieża? Czy to nie jest jakimś znakiem, że jednak papieżem został Europejczyk (celowo nie używam słowa „Niemiec” tylko „Europejczyk”)? Jak ten wybór ma się do hasła, które pojawiło

się już w dokumentach Soboru Watykańskiego II, a następnie w słowach Jana Pawła II, który głosił, że właśnie Europa potrzebuje nowej ewangelizacji?

Dla mnie mniej ważne jest, czy nowy papież pochodzi z Europy, czy z innego kontynentu – ważniejsze jest, jakie ma poglądy i kim jest. Nie miałem przyjemności poznać osobiście kardynała Ratzingera, ale z tego, co obserwowałem, zwłaszcza ostatnimi czasy, muszę powiedzieć, że bez wątplenia jest to człowiek z niezwykłą charyzmą. Rzeczywiście, nie wypada nam w żaden sposób oceniać wyników głosowania kierowanego przez Ducha Świętego, natomiast bez wątplenia możemy powiedzieć coś na temat poglądów aktualnego Papieża i to te poglądy, nie nacja, nie region, ani kontynent z którego pochodzi, są najważniejsze. Wiemy, że kardynał Ratzinger, długoletni i jeden z najbliższych współpracowników Jana Pawła II, ma tzw. poglądy, jak to się określa w nomenklaturze politycznej, konserwatywne. To oznaczałoby, że dokonany wybór wskazuje na to, co Kościół uważa za ważne i potrzebne do zrobienia w tej chwili. Być może trzeba bardziej scementować to, co już istnieje, słynna już „benedykcja” Europy – i w tym sensie jej (staro)nowa ewangelizacja – i pokazać światu, że Kościół bynajmniej nie chyli się ku upadkowi, ale, przeciwnie, będzie dalej, tak jak w przeszłości, także i w przyszłości odgrywać znaczącą rolę w świecie. Benedykt XVI, jeszcze jako kardynał, podczas ceremonii pogrzebowej oraz w homilii przed rozpoczęciem konklawe pokazał się nam jako człowiek bardzo skromny, mądry, o silnej osobowości i wielkim sercu.

Czy można powiedzieć, że stoimy w punkcie przełomowym, w takim, w jakim Europa znalazła się w okresie Soboru Trydenckiego w połowie XVI wieku? Po wyborze kardynała Ratzingera na następcę Świętego Piotra, spotkaliśmy się z takimi głosami, że jest on konserwatystą, więc nie ma, co liczyć na reformy. Ale czy te reformy są potrzebne?

To jest bardzo dobre pytanie. Czy Kościół potrzebuje reform i czym jest, w tym kontekście, konserwatyzm? Przykleja się do poglądów Benedykta XVI etykietkę polityczną, która generalnie ma odcień pejoratywny; natomiast konserwatyzm, o którym mówiliśmy, jest, tutaj, dokładnym stosowaniem się do zasad wiary. Więc jeżeli tak traktować konserwatyzm religijny, wówczas innego sensu nabiera pytanie, czy Kościół wymaga reform. Nikt nikogo nie powinien zmuszać do wiary jakiegokolwiek, bo ludzie powinni przeciw wybierać sobie taką drogę życia, która jest dla nich najlepsza. Ale pasterz osób wierzących musi zatem, co oczywiście czyni, wczuwać się w realne potrzeby ludzi wierzących, reagować na ich realne problemy i prowadzić ich skutecznie, w więzi i zadowoleniu wzajemnym, przez przeróżne, często ogromnie powikłane, meandry życia. A to w aktualnych czasach oznacza prawdziwie benedyktyńską pracę dla Benedykta XVI.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

AGNIESZKA SIKORA

Tryptyk i Powtórzenie

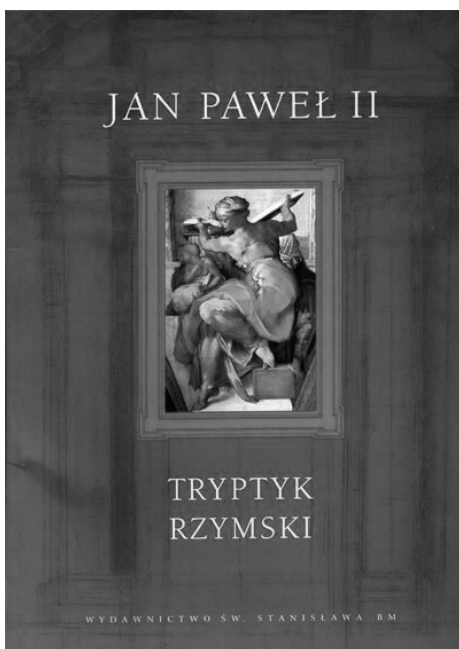
1.

„Lecz cytować go, nie, tego nie potrafię. Znaczący to, że chcę przywłaszczyć sobie jego słowa w obecności innych. Robię to, gdy jestem sam – wtedy przywłaszczam wszystko. Lecz gdy obok ktoś jest... Zbyt dobrze wiem, co przystoi młodemu człowiekowi, gdy rozmawiają starsi” (S. Kierkegaard, *Powtórzenie*, przeł. B. Świdorski, Warszawa 2000, s. 111).

2.

Kiedy w 2003 roku na księgarskich półkach trafił ostatni papieski poemat, Jan Turnau pisał na drugiej stronie „Gazety Wyborczej”: „Krytycy literaccy, mam nadzieję, ocenią *Tryptyk rzymski*”. Niestety, jego nadzieja okazała się płonna – poza nielicznymi artykułami, które dociec próbowały faktycznej wartości „Tryptyku”, komentarze były tak bardzo skoncentrowane na sensacyjności „ponownego debiutu poetyckiego Papieża”, że traciły z oczu sam tekst. Mam wrażenie, że w dużym stopniu do pozostawienia „Tryptyku” szczególnie zamkniętym przyczyniły się głosy postulujące „abstrahowanie od literackiej wartości poematu” i koncentrację na płaszczyźnie duchowo-biograficznej. Jeżeli „Tryptyk” ukazał się jako utwór poetycki, odwracanie się od jego „literackości” jest o tyle sztuczne, co niemożliwe. Rozumiem jednak, że trudno było pisać o konstrukcji wiersza czy roli metafory w tekście, którego Autor jest Osobą powszechnie znaną, szanowaną i lubianą, zwłaszcza w wypadku, gdy owa konstrukcja i metafora rzadko mogą być uznane za artystycznie doskonałe.

Gdyby rzecz, którą za chwilę powiem, zabrzmiała niestosownie, proszę o wybaczenie: prowokowanie nie jest moim zamiarem. („Zbyt dobrze wiem, co przystoi młodemu człowiekowi, gdy rozmawiają starsi.”) Jeżeli dotąd nie potrafiliśmy pochylić się nad tekstem „Tryptyku” (podobnie jak nad innymi papieskimi tekstami), być może dlatego, że przesłaniała je nam wielka obecność ich Autora – to teraz, w trudnej dla nas wszystkich sytuacji Jego odejścia, pozostaje nam nie rozpacz, ale teksty, a te zawsze implikują gest lektury. Ta na poły Derridańska sytuacja śmierci autora (której nie-Derridański a uczuciowy czy wręcz intymny aspekt tak bardzo daje się nam we znaki) niesie więc z sobą radość i pocieszenie, o których nie możemy zapominać. Rzecz jasna, od razu dopowiedzieć trzeba: radość ciemną i pocieszenie niedorzeczne. Czym bowiem są czarne znaki, którymi zapełniona jest biała powierzchnia wobec tembru głosu i uśmiechu na twarzy? A jednak teksty to wszystko, co mamy i dlatego musimy traktować je niczym stęsknionego kochanek upragnione listy miłosne przesyłane mu z drugiego końca świata.



3.

Inny nieszczęśliwy kochanek, który listów nie otrzymywał (a tym bardziej nie od ukochanej, od której odszedł bez słowa), a właściwie nie chciał otrzymywać (gdyż nigdy nie ujawnił adresu zwrotnego), napisał do przyjaciela: „Hiob powtarza stwierdzenie: mam rację. Poświadcza w ten sposób szlachetność ludzkiej wolności, która wie, kim jest człowiek. Jest wiotkim i szybko więdnącym kwiatem, który staje się wspaniały, dążąc do wolności. Zdobywa świadomość, której nawet Bóg nie może mu odebrać, chociaż Bóg mu ją dał. Hiob powtarza to zdanie tak, że widzisz jego miłość i zaufanie, przesycone pewnością, że Bóg da sobie z wszystkim radę, jeżeli tylko człowiek skłoni Go do rozmowy”. (*Powtórzenie*, s. 115.). Dlaczego przepisują te słowa w tym miejscu? Dlatego, że ów młody autor listu jest bohaterem „Powtórzenia” („*Gjentagelse*”) Sřrena Kierkegaarda, a to jedna z tych niewielu książek, których lektura nie jawi się jako groteskowa w obliczu majestatu Śmierci. Tej Śmierci. Dlaczego jednak akurat „*Gjentagelse*” będzie prowadziło nas ku „Tryptykowi”? Ponieważ to „Tryptyk” otwiera nas na powtórzenie, rozumiane nie tylko jako retoryczne narzędzie, ale jako fenomen, problem, szansa, egzystencjalna konieczność.

4.

Utwór papieski opiera się na figurze powtórzenia i jeżeli dotąd nie zwróciliśmy na to uwagi, to właśnie dlatego, że oddzielił w nim „literackość” od biograficzno-duchowej „treści”. Repetycja od zawsze była istotnym elementem papieskich poezji, dramatów, homilii czy encyklik i je-

żeli Jan Paweł II „powtarza się” w „Tryptyku” tak wyraźnie, nie sposób przejść obok tego obojętnie (jeśli oczywiście wykluczmy ewentualność, że powtarzanie to niechciany przejaw wygaśnięcia papieskiego talentu). Budowa poematu daje podstawy do uznania figury powtórzenia za dominantę. Odnalazłem w „Tryptyku”: 18 powtarzających się, czasem tylko nieznacznie modyfikowanych, zdań (typu: „*Omnia nuda et aperta sunt ante Oculum Eius*”), które obejmują łącznie 51 wersów; 50 powtórzonych równoważników, wyrażań, metafor czy porównań, nie związanych z grupą wcześniejszą (kolejne 91 wersów); 16 cytatów (w przeważającej większości z Biblii) i 4 autocytały (z wcześniejszej twórczości) – czyli kolejne 25 wierszy oraz 9 zastosowań paralelizmu i anafory (w 22 wersach). Jak łatwo obliczyć, daje to liczbę 189 wierszy w różny sposób objętych gestem powtarzania. Stanowi to prawie połowę (47,7%) całego tekstu (liczącego sobie 396 wersów). Mówiąc inaczej: tylko połowa „Tryptyku” wolna jest od żywiołu powtórzeń. Oczywiście, zaprezentowany wyżej prowizoryczny sposób analizy nie należy do wyrafinowanych, poza tym jego wyniki nie są absolutnie jednoznaczne. Z pewnością ważniejszy jest więc sam proces lektury, w czasie którego trudno jest oprzeć się wrażeniu, że Autor powtarza celowo i notorycznie – nie tylko frazy czy metafory, ale i myśli, które często wyraża innymi słowami (czego oczywiście wyniki powyższej „analizy” nie mogą uwzględniać). Kiedy czytamy pod tym kątem dawne wiersze Karola Wojtyły, zauważamy, że naddatek powtórzenia w „Tryptyku” nie jest absolutnym *novum*, ale naturalną konsekwencją dawnej poetyki, nad wyraz często faworyzującej ruch repetycji.

W poemacie Jana Pawła II jest jednak coś, czego w wierszach Karola Wojtyły (poza nielicznymi wyjątkami) nie ma – obfituje on w cytaty. Nieobecność cytatu w pierwszym okresie twórczości może być odczytywana jako przejaw dominacji paradygmatu kreacjonistycznego. Łatwo rozpoznawalny styl Wojtyły – najczęściej określany przymiotnikiem „trudny” – jest wrogi cytowaniu jako działaniu wtórnemu, nieoryginalnemu. Tymczasem w „Tryptyku” wzięte w cudzysłów lub zaznaczone kursywą „cudze słowa” stanowią konstytutywną część tkanki tekstu. Co niezwykle znaczące, ostatni poemat papieski bardzo często powtarza problemy znane z pierwszej fazy twórczości. Dotyczy to na przykład: niemożności przekroczenia progu, metafory „wylaniania się z fali przemijania”, połączenia miłości z widzeniem, a nawet „przenikania Księgi” z watykańskiej „ściany” czy „nagości i przejrzystości” użytych jako metafory zgromadzenia hierarchów. Zdumiewające jest to, że w „Tryptyku” nie dokonuje się właściwie rozwinięcie tych tematów

– Papież przede wszystkim po prostu je powtarza. Czy to przejaw nowego, wyciszonego stylu, będącego wyrazem bezradności? Następstwo przyjęcia innej koncepcji poezji? Objaw pokory?

5.

„Jakub” z poematu „Myśl jest przestrzenią dziwną” (1955) to parafraza fragmentu Księgi Rodzaju, ale jakże inna od tej z trzeciej części „Tryptyku” – „Wzgórza w krainie Moria”. Tok wypowiedzi jest swobodny, metaforyczny, pełen dygresji. Odnosi się do jednego tylko wersu z *Genesis* przytoczonego w motcie, który jest pretekstem do przeprowadzenia analiz zagadnień tak pozornie odległych od historii Jakuba, jak związek języka i myśli czy istnienie „przepaści” pomiędzy „widzeniem a jego przedmiotem”. W „Tryptyku” mamy natomiast do czynienia z prostym streszczeniem historii Abrahama, na dodatek pozbawionym wyraźnych środków artystycznych, których nie brakuje w „Jakubie”. Owszem, że narracja jest przerywana, ale na dobrą sprawę wyłącznie jednym pytaniem i próbami udzielenia na nie odpowiedzi: „dlaczego dziś szukamy miejsc” związanych z życiem Abrahama? Identyczne pytanie znajdziemy w „Jakubie”, jednak wówczas Autor nie miał wątpliwości, jak należy się do niego ustosunkować: „Jeśli szukasz owego miejsca, na którym zmagął się Jakub,/ nie wędruj do krain Arabii, nie szukaj na mapach potoku,/ bowiem znajdziesz o wiele bliżej ich ślad./ Pozwól tylko: w perspektywie myśli niech zjawiają się światła przedmiotów”. „Dziwna”, ale przez to pozwalająca na przekroczenie dystansu oddzielającego człowieka od Boga, przestrzeń myśli i rozumienia jest tu zdecydowanie uprzywilejowana. A w „Tryptyku”? Jeśli tylko pamiętać będziemy o ważnej roli metafory progu oraz o „Jakubowym” projekcie abstrahowania od zmysłowej rzeczywistości na korzyść myśli, odpowiedź Jana Pawła II może nas zainteresować: „to dlatego,/ by stanąć na progu –/ by dotrzeć do początku Przymierza”. Dodajmy do tego zakończenie „Tryptyku” (z pewnością nieprzypadkowe, skoro będące właściwie powtórzeniem zakończenia poprzedniej części): „zapamiętaj to miejsce, kiedy stąd odejdziesz,/ ono będzie oczekiwać na swój dzień –”, a różnica stanie się uchwytana.

W pierwszej fazie twórczości absolutnie prymarny był porządek *ratio*, rozmyślanie, metafizyki; stąd poezja Wołtyły sytuowała się całkowicie po stronie intelektu. W tkankę „Tryptyku” zaś wplotło się zdarzenie tego, co wówczas pomijano. Dzięki temu abstrakcyjna kategoria „przeźrzeni” zastąpiona została „miejscem” (konkretną częścią górskiego boru, tą ścianą w tej kaplicy, tym jednym wzgórzem). Dlatego też zamiast trudu przekraczania ludzkiej kondycji mamy w „Tryptyku” „obraz i podobieństwo”, ponad metafizycznym poszukiwaniem głębi i źródłowości jest prosta potrzeba „umocnienia warg w źródlanej wodzie”, w miejscu nakazu tworzenia intelektualnych konstrukcji – kontemplacja nagich ciał, zamiast aktywności – bierność oczekiwania, wreszcie zamiast kreowania – powtórzenie. Wcześniej chciano przede wszystkim przekroczyć próg oddzielający porządek ludzki od porządku boskiego, język

od *Logosu*. Teraz pozostanie w progu jest największym pragnieniem, ponieważ to na progu wcielony Bóg spotyka człowieka, to w progu zaczyna się przymierze. Umożliwia to zdarzenie wcielenia, które jest w moim odczuciu głównym tematem papieskiego poematu. Zmienia ono widzenie wielu obszarów ludzkiego życia, jak na przykład seksualności. W „Medytacji o sakramencie małżeństwa” zatytułowanej „Przed sklepem jubilera” z 1960 roku słowo „nagość” nie pojawia się ani razu, a ciało zdefiniowane jest jako coś, „przez co przesuwają się myśli”; w krótszym „Tryptyku” nagość występuje 13 razy (sic!), zaś współżycie nazwane jest „Prasakramentem” i przyrównane do relacji panującej w Trójcy Świętej. Jeżeli w wierszach Wołtyły człowiek musi walczyć, „rozbić”, wybiegać ze swojej natury i „przedzierać się” ku Bogu, poszukiwać głębi (*dziękuję tu prof. A. Nawareckiemu za zwrócenie uwagi na ten aspekt omawianej poezji*), to w „Tryptyku” wystarczy mu zatrzymać się i popatrzeć na świat, czyli powtórzyć w sobie Adama.

To prawda, że „Tryptyk” jest bardziej pokorny niż wcześniejsze wiersze Karola Wołtyły, ale wyłącznie dlatego, że *humilitas* pochodzi od *humus*. Jest właściwie regułą, że metafizycy pragną zapomnieć o ciężkiej im ziemskości. „Tryptyk” (jak każdy tryptyk) pozwala zobaczyć obie strony skrzydeł. Na skrzydłach tych wznieść chciał się w górę Karol Wołtyła, ale jego pamięta nie pamiętała o tej ich stronie, o której pamiętało życie (narty, kajaki, góry, śpiew, kremówki, ból). Dokonana w „Tryptyku” repetycja opowieści o stworzeniu ujawnia rewers chrześcijańskiej wizji życia człowieka i – co więcej – pokazuje, że ów rewers nie stanowi jej marginesu, ale początek. Repetycja jest rewersem.

6.

Zagadnienie powtórzenia – nazwanego warunkiem wszystkiego – zrobiło karierę w humanistyce dwudziestego wieku (poprzedziliśmy tu na wspomnienie fundamentalnej pracy Gillesa Deleuze’a „Różnica i powtórzenie”). Moje sięgnięcie do książki Kierkegaarda wynika nie tylko z jego uprzedniości wobec myślicieli dwudziestowiecznych, ale także z przypadku – przeczytałem „*Gjentagelse*” stosunkowo niedawno. Podkreśliłem wówczas zdania: „Powtórzenie i wspomnienie to ten sam ruch, lecz skierowany w dwie przeciwne strony, gdyż to, co się wspomina już było, powtarza się więc <do tyłu>”. A właściwe powtórzenie, to wspomnienie zwrócone ku przyszłości. Dlatego powtórzenie, o ile jest możliwe, czyni człowieka szczęśliwym, wspomnienie natomiast czyni go nieszczęśliwym” (*Powtórzenie*, s. 17). Kiedy parę dni temu powróciłem do „Tryptyku”, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że Autor tego „powtórzeniowego” czyli zwróconego w przyszłość poematu, domagałby się od czytelnika lektury ożywianej tym samym ruchem. Powtórzenie nie kłóci się z twórczością, wręcz przeciwnie: może być ono twórczością mądrą, której nie pęta daremne pragnienie oryginalności. Wypada przywołać tu lapidarną formułę Rosalind Krauss zawartą w jej słynnym eseju „Oryginalność awangardy”: „Moż-

na wyłącznie powtarzać” (*Postmodernizm. Antologia przekładów*, red. R. Nycz, tłum. M. Sugiera, Kraków 1997, s. 409). A jeżeli tak, istotne staje się nie tylko to, co się powtarza, ale także pojęcie inwencji (*invention*), odkrywane przez Jacquesa Derridę w szkicu „*Psyché. Odkrywanie innego*”. „Inwencja oznacza dojście do wynalezienia, odkrycia, odsłonięcia, wytworzenie *po raz pierwszy* czegoś, co może być artefaktem, lecz co musiało się już tam znajdować, w stanie ukrytym lub tylko potencjalnym” (*Postmodernizm*, tłum. M. P. Markowska, s. 91). Dalej zaznacza Derrida, że podejście to „z pewnością nie nosi znamion ateizmu, wprost przeciwnie: tworzenie zarezerwowane zostaje dla Boga, dla ludzi pozostawiona zostaje inwencja” (*tamże*) i jeszcze dalej: „Inwencja ukazuje: jest objawieniem Boga, lecz także dopełnia je, wypełniając; odbija je w sobie, jednocześnie uzupełniając” (*tamże*, s. 101). Oczywiście, Derrida stwierdzi później, że jego ustalenia obce są wszelkiej „tradycji ontoteologicznej” (s. 106), nie przeszkadza nam to jednak użyć pojęcia inwencji w odniesieniu do „Tryptyku”. Papieskie powtórzenia nie są bowiem niczym innym niż „ukazywaniem a jednocześnie uzupełnianiem Objawienia”.

Doskonale widać to w drugiej części poematu, w której Autor „krąży” wokół kilku pochodzących z Księgi Rodzaju słów-kluczy: „Stwórca”, „Początek”, „Słowo”, „widzenie”. Na skutek gestu powtórzenia, słowa te zaczynają wchodzić z sobą w nowe związki, niewypowiedziane wprost w Księdze *Genesis*, a jednak potencjalnie w niej zawarte. Stwórca zostaje więc zdefiniowany jako „ten, który widzi, że jest dobre”, co przeniesione zostaje później na Michała Anioła – artystę. Artysta (twórca) „uczestniczy” w widzeniu boskim, a więc jego dzieło musi być afirmujące; podobnie jak rajskie widzenie Ewy i Adama. „Początek” określany jest przymiotnikiem „niewidzialny” i występuje zawsze w towarzystwie „Kresu”, a jednak „przemawia do nas z tych ścian”. Wniosek jest następujący – tylko twórczo percypując świat, dostrzeżesz że życie ma ład i porządek (początek i koniec). „Słowo” wreszcie to „odwieczne widzenie i odwieczne wypowiedzianie”, co niesie z sobą implikację: jeżeli czegoś nie zobaczysz, nie będziesz potrafił tego nazwać. Czym jest więc „widzenie”? Jest „odnajdywaniem śladu swojej istoty”. Każde to powtórzyć wszystko raz jeszcze: Stwórca – afirmuje w stworzeniu sam siebie; jeżeli widzi świat, to dlatego, że jest z nim tożsamy. Artysta – ma odnajdywać w swym dziele zarówno swoją tożsamość, jak i tożsamość Boga oraz dążyć do ich zjednoczenia. Początek – istnieje, skoro odnajdujemy w sobie jego ślad (stąd fascynacja Papieża macierzyństwem i ojcostwem); istnieje więc także kres, co powinno być jednak źródłem afirmacji, nie lęku. Widzenie – odnajdywanie w przedmiocie widzenia zarówno początku i kresu (czyli śladu człowieka), jak i nieskończoności (czyli śladu Boga). Więc jeszcze raz: Stwórca – „widzący”, a więc widzący także naszą skończoność naszej kondycji, dla której przeobóstwienie poświęca Syna. I jeszcze raz – i jeszcze raz... Wychylona w przyszłość inwencja w powtarzaniu zaczyna jawić się jako nauka myślenia, szkoła

teologii, lektury, życia. Odkrywamy w ten sposób sens podtytułu „Tryptyku” – „Medytacje”. Autor powtarza, by nauczyć czytelników dziwienia się słowem i światu, a co za tym idzie: po-wołać ich do dalszego powtarzania, uzupełniającego Objawienie o nowe historie.

Powróćmy jednak raz jeszcze do „Powtórzenia”, gdzie melancholijny młodzieniec nie rozstaje się z Księżą Hioba, od którego uczy się powtarzać tak, by było „widać jego miłość i zaufanie, przesycone pewnością, że Bóg da sobie z wszystkim radę, jeżeli tylko człowiek skłoni Go do rozmowy”. Badacze spierają się o zakończenie ostatniego listu młodzieńca (ponoć zmienione przez Kierkegaarda w ostatniej chwili), w którym opisuje on, jak dokonane w nim wreszcie powtórzenie przynosi radość wyzwolenia: „To wszystko już za mną. Mam wspaniałą łódź. Za chwilę będę tam, dokąd kieruje mnie pragnienie duszy (...)” (*Powtórzenie*, s. 130). Nie ma jednoznacznej interpretacji tej decyzji: czy jest ona wyjściem ku śmierci czy początkiem życia? Tylko od nas zależy, czy wbrew wszystkiemu powtarzać będziemy śmierć (a jakoś powtarzać musimy) jako papieskie „wypłynięcie na głębię” czy też jako pozbawione celu dryfowanie. Zanurzony w tej dwoistości, stojący na tym progu, kończy swój ostatni list bohater Kierkegarda: „Niech żyje ruch fal, niosących mnie w przepaść! Niech żyje ruch fal, wznoszących mnie ku gwiazdom!” (*Powtórzenie*, s. 130).

7.

„Zdumiewając się, wciąż się wylaniał/ z tej fali, która go unosiła./ jakby mówiąc wszystkiemu wokół:/ <zatrzymaj się! – masz we mnie przystań/> <we mnie jest miejsce spotkania z Przedwiecznym Słowem> –/ <zatrzymaj się, to przemijanie ma sens>/ <ma sens... ma sens... ma sens>”. Jeżeli bohater „Tryptyku” wychyla się z fali, która porwała bohatera „Powtórzenia”, to dlatego, że afirmuje swoją pozycję na drodze do wieczności. Choć wychyla się w przód równie niecierpliwie jak młodzieniec, to jednak nie zapomina, że stoi na progu. To próg, ludzka egzystencja afirmowana w całej swojej rozciągłości, a nie „gwieździsta przepaść” młodzieńca, staje się „przystań”, gościnnym „miejscem spotkania”.

8.

Inny fragment „Tryptyku” powtarza, zapisane dwukrotnie w „Wędrownie do miejsc świętych” z 1965 roku, zdanie „*Tres vidit et unum adoravit*”. „Raz przyszedł do Abrama w gościnę./ Było Przybyszów Trzech, których przyjmował/ z wielką czcią./ Abram zaś wiedział, że to On/ On jeden/ Rozpoznał Głos (...)”. Wzrok Abrama okazuje się więc być omylny: widzi on trzech mężczyzn, ale jednego Boga rozpoznaje po głosie. Czynność widzenia zaakcentowana jest wyraźniej we „Wzgórzu w Krainie Moria” tylko raz: „Widzi siebie już ojcem martwego syna”. Ludzkie widzenie jest zawsze widzeniem śmierci, kresu, zniszczenia – oto nowa prawda, wynikająca z ruchu repetycji. Powtórzmy lekturę drugiej części (wszak Kierkegaard pisze swoją książkę „na wspaniałość” – *Powtórzenie*, s. 134): „Oto widzą siebie pomiędzy Początkiem a Kresem./ Pomiędzy Dniem Stworzenia a Dniem Sądu.../ Postanowiono człowiekowi raz umrzeć – a potem Sąd!”. Jaki Sąd został widziany w Sykstyńcu? Jaki Kres? *Tremendum et fascinosum*. Przejmujący bojaźnią i drżeniem. „Pójdźcie błogosławieni..., idźcie przekłęci...”: albo – albo. Śmierć – koniec nie pozostawiający nadziei na wyleczenie, na powtórzenie.

9.

„Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swojego dał, aby każdy kto w niego uwierzył, miał żywot wieczny” – być może najważniejsze powtórzenie (za Janową Ewangelią), w najważniejszym punkcie poematu, tuż przy jego końcu. Autor zwraca się tu do Abrahama (którym jest zarówno on sam, jak i każdy z nas): „jest (...) taki próg, którego ty nie przekroczysz./ Inny Ojciec przyjmie tu ofiarę swojego Syna”. Metafora przekraczania progu, tak często powtarzana w piśmiectwie Karola Wojtyły-Jana Pawła II, także w „Tryptyku”, pojawia się w tym miejscu po raz ostatni, wreszcie jako zrealizowana. Ale nie dzięki Abrahamowi – jeżeli zerwanie zaklętego kręgu powtórzenia jest możliwe, to z pewnością nie w żywiole ludzkich myśli czy decyzji. Zapewne wszyscy pamiętamy, często ostatnio powtarzaną, ceremonię otwarcia Świętych Drzwi. Potężne wrota zostają otwarte, a zmęczony, schorowany Papież długo

stoi na ich progu, podczas gdy wierni głośno wiatują. W końcu z pomocą współpracowników próg zostaje przekroczony. Jan Paweł II nie będący w stanie o własnych siłach przekroczyć progu powtarza historię Abrahama (którym jest on sam, którym ma być każdy z nas). *Będący w progu* – oto definicja człowieka wylaniająca się z „Tryptyku”. Niemoc transgresji, niemożność uniknięcia powtórzenia, skazanie na kalkowanie, cytowanie, telefon, na podwójność źródła, na wieczne to-samo. A także na cielesność, przygodność, widzialność. To wszystko tyle już razy poddawane recytacji, reaktywnemu, repetycji (Derrida, Deleuze, de Man), zostaje powtórzone po raz kolejny. „Oto droga, którą wszyscy przechodzimy –/ każdy z nas”. Pamiętamy Kierkegaarda? Powtórzenie jest wychylone w przyszłość, jest afirmacją. Czy Jan Paweł II robił kiedykolwiek coś innego?

Nie cytujemy i nie tylko wspominamy, ale przede wszystkim powtarzamy słowa Tego, który odszedł; nie pozwólmy im błąkać się po (nie)gościńcu medialnego rozgardiaszu.

1. „Pan czytał Księgę Hioba, prawda? Proszę przeczytać ją jeszcze raz – i jeszcze raz – i jeszcze raz. Nie mam odwagi przytoczyć w liście nawet jednego zdania z Księgi Hioba, choć przepisywanie po duńsku i po łacinie tego, co powiedział, czasem dużymi, a czasem małymi literami, ogromnie mnie raduje. Każde przepisane słowo jest jak plaster położony boską ręką, grzejący obolałe serce. A komu, jak nie Hiobowi Bóg podał rękę? Lecz cytować go, nie, tego nie potrafię. Znaczyliby to, że chcę przywłaszczyć sobie jego słowa w obecności innych. Robię to, gdy jestem sam – wtedy przywłaszczam wszystko. Lecz gdy obok ktoś jest... Zbyt dobrze wiem, co przystoi młodemu człowiekowi, gdy rozmawiają starsi” (*Powtórzenie*, s. 110–111.)

1. Pan czytał „Tryptyk rzymski”, prawda? ...

PIOTR BOGALECKI

Autor jest studentem trzeciego roku MISHU i Akademii „Artes Liberales”, w ramach której pod kierunkiem prof. Andrzeja Borowskiego z UJ napisał pracę poświęconą „Tryptykowi” (2003); przewodniczącym Koła Naukowego WolnoMISHlicieli oraz tegorocznym stypendystą MENIS.

gazeta
uniwersytecka

MIESIĘCZNIK Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach
Pismo ukazuje się od 1992 roku za zgodą JM Rektora. ISSN 1505-6317
Dodatek specjalny „Totus Tuus” zredagował zespół: Agnieszka Sikora – redaktor prowadząca (asikora@us.edu.pl), Aleksandra Kielak – sekretarz redakcji (kielak@adm.us.edu.pl), Dariusz Rott – redaktor naczelny (rott@adm.us.edu.pl)

ADRES REDAKCJI: ul. Bankowa 12, pokój 016, 40-007 Katowice, tel.: (32) 359 17 31, tel./fax (32) 359 19 49, e-mail: gazeta@us.edu.pl lub gazetauniwersytecka@op.pl

Jesteśmy w Internecie: <http://gu.us.edu.pl>
REDAKCJA CIĘSZYŃSKA: Stanisław Pietroszek (zaczyszyna@filus.edu.pl), tel. (33) 854 61 52

PROJEKT OKŁADKI: Artur Starczewski, Tomasz Kipka
SKŁAD I ŁAMANIE: Ireneusz Olsza

DRUK: Zakład Poligraficzny M. Wioska, ul. 75 Pułku Piechoty 1, 41-500 Chorzów, tel. 604 633 490
Nakład: 700 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania, adiacji i redagowania tekstów
Materiały (na dyskietce lub e-mailem) przyjmujemy do 13-go dnia miesiąca poprzedzającego wydanie numeru
Zachęcamy do współpracy. Czekamy na artykuły, listy i sugestie. Materiały nie zamówione staramy się zwracać
Strony www opracowane przez Centrum Technik Informatycznych US

Redakcja nie identyfikuje się ze wszystkimi przedstawionymi poglądami Autorów, niektóre z nich traktujemy jako zaproszenie do dyskusji



ZGASŁ PŁOMIEN
LECZ ŚWIATŁO JEGO
ZOSTANIE W NAS